Tom I. Nr. 15.

21. Listopada 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

LEPSZA SWOJA.

Powiastka.

Gwiazdy się wyiskrzyły, wiatr mroźny zawiewał, i zdala już było posłyszeć po stwardniałej ziemi, kół turkot, stukot koni — a nawet i stąpanie ludzkiej stopy.

Przez okno dworu w Suszycy jasne biło światło, boć też właśnie stary Łukasz, dawny sługa w rodzinie państwa Brzozińskich, dziedziców — suchego łuczywa do kominkowego dokładał ognia.

Dziedzic i dziedziczka siedzieli przy stole i coś tam o gospodarce rozprawiali. Obok matki usiadła panna Jadwiga z robotą w ręku, urodziwa, młoda panienka, a tuż przy niej pan Władysław, dorodny młodzian, który już od kilku miesięcy smalił cholewki do panienki. Rodzice chętnem okiem na te patrzyli zaloty, bo za paniczem przemawiało wszystko; rozum, serce, rządność, statek, a nawet i niezgorszy kawał majątku.

Kawaler prawił pannie wesoło, a ona chichotała się, że aż igiełka z delikatnych wyśliznęła się paluszków. Wtem za-

szczekały psy na dziedzińcu i po zmarzłej ziemi było słychać, że kilkoro zbliża się ludzi. Kurty i kruczki coraz gorliwiej naszczekiwały, a stąpanie tuż za oknami słyszano.

— Łukaszu, wyjdź-no! Ktoś to tam nadchodzi? — zagadał pan Brzoziński do starego sługi.

— Toćże dziś sobota.... idą już pewnie — i coś tam sobie Łukasz pod nosem mruknął.

— Któż tam idzie? — zapytał znowu dziedzic.

— A Skibowie z synem i Gotfrydy z córką — zamroczył się stary. — A wszakże tam w czwartek były *pytanki* (oświadczyny).

— Jakto! więc Janek Skiba z córką Gotfrydów się żeni? — zapyta pani Bzrozińska.

— Atoć-to! — stary Łukasz znowu sobie pomruczał.

— O mój Boże! — zawołała panna Jadwiga — a przecież miał się żenić z tą ładną Marysią, córką Waliszki z Prędocina?

— A miałci — odrzekł Łukasz — ale młodzi poswarzyli się z sobą o jakieś tam głupstwo; dziewucha harda, Janek wziął na kieł i rozchwiało się. Gotfrydowie dla swojej Krystyny od dawna mieli chrap na Janka, nuż więc Skibom gadać to i owo, obiecywać niestworzone rzeczy, ta i złudzili starych. Zaś Janek, poszedłszy z Marysią *na udry:* złość na złość, i dalejże do Niemki. — Łukasz nagle urwał mowę, jeno tam coś zamamrotał przez zęby.

Dało się słyszeć szurganie poza drzwiami i szepty.

— Wprowadź-że ich — wyrzekł pan Brzoziński.

Łukasz podniósł się ociężale, podrapał się z niechęcią w głowę, przystanął i ciągle coś mruczał.

— To i czegoż tak mamroczesz stary? — zapytał dziedzic z uśmiechem.

— Ej, proszę wielmożnego pana, boć mi stoi gdyby kość w gardle to ożenienie Janka. Znalazłby przecie jaką polską dziewuchę i większe byłoby błogosławieństwo Boże. Taki dziarski parobczak!

— Ma racją, ma racją Łukasz — zawołał na to pan Władysław. — Zawsze to swoja lepsza. Niemasz, jak nasze polskie dziewczęta!

— Wszystko to lepsze i milsze co swoje — dodała panna Jadwiga.

— No, idźże Łukaszu, idź — ozwała się pani Brzozińska, widząc że staremu nie skoro wyjść było.

Wyszedłci wreszcie i wieśniaków wprowadził.

Pierwszym był Mikołaj Skiba, który wszedł do pokoju i państwu się skłonił: *Niechaj będzie pochwalony!* — Na co mu jednogłośnie odpowiedzieli wszyscy: *Na wieki!*

Stary Skiba był chłop rosły, barczysty, z długim posiwiałym włosem, bardzo poczciwego wejrzenia, w szaraczkowej sukmanie. Za nim weszła żona jego, przyjemnie uśmiechnięta niewiasta, osłoniona chustą czerwoną i okryta *pstruchą.**) Tuż za matką ukazał się Janek, wysoki, rażny parobczak, w granatowej, czyściuchnej sukmanie, z czerwoną wstęgą u koszuli. Dalej weszli Gotfrydowie: on sam chudy Niemiec, suchy, pomarszczony, w surducie z dużemi guzami ołowianemi, a żona jego mała, krępa, w czepcu z ogniście namarszczoną ślarką. Tuż przy rodzicach weszła i Krystyna, dziewczyna także niska, pękata, rumiana, z zadartym nosem a włosami gdyby len; podkasana w jakiejś sukni zielonej, zapasce czerwonej i spencerku siwym. A warkocz miała błyszczącym przypięty grzebieniem.

Mikołaj Skiba opowiedział państwu — według zwyczaju przyjętego — że syn jego pojmuje córkę Gotfrydów za żonę i że dzisiaj właśnie są *zrękowiny* (zaręczyny). Poczem skłonili się wszyscy. Krystyna uśmiechnęła się wesoło, lecz Janek wcale nie wyglądał na radosnego pana młodego.

Państwu Brzozińskim od razu to małżeństwo nie wydawało się stosownem i dobranem — ale cóż mieli mówić? Trudno było odezwać się inaczej. Kazali podać wódki, chleba z miodem na zakąskę, poczęstowali gości i wyrzekli dla młodej pary swoje najlepsze życzenia. Potem Skibowie i Gotfrydowie skłonili się znowu, i poszli do domostwa rodziców panny młodej, by obchodzić zaręczyny.

Zeszło się tam gości kilkoro, a mianowicie też Niemców z sąsiedniej kolonii, krewniaków Gotfryda. Pili, jedli, śpiewali: Krystyna zęby wyszczerzała — ale Janek wszelako był przez

*) Strój używany u naszych w Wielkopolsce.

cały czas istnie gdyby mruk: nic go nie bawiło i rozweselić nie mogło.

Gotfrydowie rządni byli ludzie ani słowa, i dobytek mieli śliczności, i przedziwnego płótna gdyby woda, własnej roboty, pełną skrzynię. Ponoć i nie było lepszych prządek jak Gotfrydowa i Krystyna na całą okolicę, prawdą a Bogiem. Mieli nawet coś tam i grosza uciułanego. A kiedy to ojcowie pogadali z sobą wedle tego ożenienia Janka z Krystyną, to Gotfrydowie o dwóch krowach mówili, o czterech świnkach, dziesięciu gęsiach i całym tuzinie kur — a potem jeszcze i różne różności córce dać mieli. Rozumie się i płótna, owego ślicznego, że i na lat parę-by wystarczyło, i pościeli na dwa łóżka pierzem napchanej, gdyby wańtuchy, co się nazywa.

Gdy wszelako po zrękowinach Janek po północku z rodzicami do domu powracał ze srebrną skówką na palcu, i gdy matka o dostatkach Gotfrydów prawiła, a ojciec — nie źle podchmielony — pogwizdywał sobie ochoczo — to biedaczysko niby w stronę Prędocina spojrzał, jakoś ciężko zaległo mu w piersiach, i radby był zapłakał, jeno że przed samym sobą wstydno go było.

Jak kiedy to po pierwszym szronie kwiatki mrozem dotknięte swoje zwieszą główki, tak samo było i z ładną Marysią. Ustroiłać się wprawdzie w niedzielę: włożyła nowe czółko z świeżym rozmarynem i barwistemi wstęgami, ale chociaż i niby powiedzieć chciała: *Co mi tam!* — to jednakże widoczna było, że jej bardzo smutno na sercu. Marysia miała długie ciemnawe włosy, zawsze uczesane starannie i we warkocze splecione; miała śliczne niebieskie oczy, była biała i rumiana — a zęby jej iście wyglądały, gdyby ze zdrowiusieńkiej rzepki wykrojone. Dziś jednakże dziewucha pobladła jakoś — i nie dziw: boć z rana zaraz zasłyszała o zrękawinach Janka Skiby z Krystyną Gotfrydówną. Ha! aleć sobie i sama winną była, że jej taka stała się zgryzota. Marysię ojcowie rozpieścili zanadto: brakowało jej tylko ptasiego mleka. Więc też gdy Janek zalecać się począł, to i nieprzymierzając, za nos wodzić go chciała. Były właśnie dwa odpusty: jeden w Zieleńcu a drugi

w Modrzewiu. Wybrali się pójść razem z innymi do Zieleńca; ale gdy już ze wsi wychodzili, szła sobie jakaś wesoła gromadka do Modrzewia. Nuż Marysię wzięła ochota pójść z niemi. Janek opierał się temu. Poczęli się sprzeczać — i otóż Marysia, kiwnąwszy sobie głową z uporu, nie wiele myśląc poszła z tamtymi do Modrzewia, a Janek zadąsany, zły jak osa, skręcił ku Zieleńcowi. Jedno drugiemu ustąpić nie chciało, i samochcąc takiej sobie narobili biedy.

Marysia okryła się pstruchą nowiuteńką i poszła do kościoła. Ot właśnie na przekór, chciała posłyszeć zapowiedź Janka. Ależ komu to na przekór, mój Boże jedyny! Wszakże samej sobie. Wyprężyła się też pysznie — a była składna i wysmukła gdyby trzcina, i aż się uśmiechnęła niby, gdy tamci z ambony spadli. Ale jak jej tam było na sercu, wie tylko Bóg jeden i Matka najświętsza; — do której to świętej Panienki modliła się potem gorąco, a w kąciku serdecznie płakała by nikt nie widział.

Tymczasem panna Jadwiga siedziała w kolatorskiej ławce — spojrzała na Marysię, i dostrzegła od razu, że dziewucha pobladła, że oczy jej nie świeciły tak jak zawsze — i wyczytała własnem sercem co to tam w Marysi się działo. Żal było panience dziewuchy, bo przeczuwała dobrze, jakby to okrutnie bolała sama, gdyby tak z panem Władysławem rozstać się przyszło.

Zaraz po drugiej niedzieli, już u Gotfrydów wielka na wesele krzątanina była, zabili wieprza, kilka tucznych gęsi, parę braków wek, i kazali namleć mąki z czyściutkiej pszenicy na placki. Już bo to Krystyna umiała wypiekać przedziwny chleb i placki. Janek wszelako wciąż chodził, gdyby z krzyża zdjęty.

Dnia jednego słonko raźnie świeciło, i pani Brzozińska wyszła z panną Jadwigą na spacer, a z niemi także i pan Władysław — boć zawsze przy panience się kręcił. Szli sobie drogą drzewami wysadzoną za wieś, gdy ot, Janek właśnie z miasteczka powracał. Skłonił się, a tak był smutny i zmieniony, że aż żal było patrzeć.

— A kiedyż tam wesele, Janku? — zapytał pan Władysław.

— Ma być w niedzielę — odrzekł parobek i spuścił oczy ku ziemi.

— I kochasz-że tę swoją Krystynę? — ozwała się panna Jadwiga.

— Ej gdzie tam, wielmożna panienko — odrzekł parobek posępnie i miął w ręku czapkę z barankiem.

— To i pocóż-że się z nią żenisz? — zagadał znowu pan Władysław. — Jakże możesz brać za żonę dziewczynę, której nie kochasz?

— Toć-też-to, wielmożny panie — skłonił się Janek — jeszcze i ksiądz proboszcz zawsze nam gada: aby swoją zachować wiarę i jedynie ją miłować, a chociaż to Gotfrydowie do naszego chodzą kościoła, i niby naszej są wiary, to wszelako jakoś i nie cale naszej. A potem człek z niemi i dobrze rozgadać się nie może.

— Może ty, Janku, i inną kochasz dziewuchę — zagadała znowu panna Jadwiga i uśmiechnęła się figlarnie.

Janek poczerwieniał i westchnął.

— Janku! Janku! — wyrzekł na to pan Władysław — Co tam namowy ludzkie! Co tam dobytek wszelki i bogactwo, kiedy serce nie miłuje. A jeszcze wierzaj mi, że zawsze lepsza swoja.

Janek spuścił głowę, gniótł czapkę ciągle, i niby mu łza na powiece błysnęła.

— Janku, milsza to Marysia, nieprawdaż? — zagadała panna Jadwiga, a pan Władysław raz jeszcze dodał:

— Wierzaj mi, że zawsze lepsza swoja!

Poszli sobie dalej. Janek postał chwilę, pokiwał głową, wyrzucił nią jakoś, zadarł czoło do góry, skręcił nagle — i dalej-że z kopyta do Prędocina. Łaził tam po wsi, zaglądał do domostw, wszedł do karczmy i zasiadł za stołem. Wtem nadeszła kuma jego, Wojtasikowa. Powitali się i Janek słodką poczęstował ją wódką. Pogadali tam coś na stronie. Wojtasikowa poczęła przytakiwać, dogadywać, przyklaskiwać rękoma i szybko z karczmy wybiegła.

Niezadługo potem stała poza ogrodzeniem Waliszków Marysia z kumą Wojtasikową, i coś tam rozgadywały dużo. Woj-

tasikowa kładła raz po raz dziewusze rękę na ramieniu, a Marysia zalewała się łzami. Aż tu z boku jakoś nadszedł i Janek. Marysia obejrzała się i krzyknęła.

— A gniewasz-że się jeszcze, Marysiu? — zagadał do niej.

Marysia nic nie odrzekła, jeno twarz fartuchem zakryła i gorzko płakała. Kuma znowu gadać żarliwie poczęła. Rozpłakał się troszkę i Janek. A potem tak jakoś się zrobiło, że sobie ręce podali i serdeczna nastąpiła zgoda.

Wieczorem Janek do ojców powrócił, a wcale mu raźno z twarzy patrzało.

— Gdzieżeś to chodził? — zapytał ojciec.

— A do Prędocina — odrzekł Janek i spuścił głowę. Potem skłonił się ojcu i matce do nóg i wypowiedział, jąkając się wszelako trochę:

— Ojcze rodzony! Matko jedyna! Toóże ja do tej Gotfrydowej żadną miarą przekonać się nie mogę. Zmarniałbym przy niej gdyby kapcan jaki, boć to ani nasza wiara prawdziwa, ani mowa z niemi kochana! Rodzicu jedyny! Matusienko najukochańsza! okrutnie mi żałko było na duszy, i okrutna trapiła mnie tęskność, żem sobie i rady dać nie mógł. Taćże Bóg widzi, że lepsza swoja, i Pan Bóg milej to widzi i ludzie pochwalą. Lepsza swoja, matusieńko jedyna i rodzicu kochany! To więc byłem w Prędocinie i pogodziłem się z Marysią.

Skibowa aż ręce do góry podniosła z podziwu. Skiba począł się rzucać, gniewać — ale zmitygował się przecie. Matka, bo zwyczajnie jak matka, zaraz jej tam od Krystyny raźniejsza Marysia stanęła w oczach. Zwłaszcza też, gdy Janek o prawdziwej mówił wierze, i że zmarniałby jak kapcan. A przecież i Marysia nie była bez wiana, bo Waliszkowie dosyć zasobni byli ludzie. Zmitygowało się więc wszystko, a w końcu rozgadawszy się, to i rodzice powtórzyli z synem: że lepsza swoja.

W przyszły więc czwartek wybrali się wszyscy do Prędocina na *względziny* czyli *pytanki*, i Waliszkowie powitali ich jak się należy. Była też tam, rozumie się, i kuma Wojtasikowa, i wesoło różne zawodziła spiewki.

W piątek poszedł Skiba do Gotfrydów, bo tak kazała uczciwość, i powiedział im: że Janek żadną miarą przekonać się

nie może, znać Pan Bóg tego nie chce: *bo śmierć i żona od Boga naznaczona.* Byłoć tam było lamentu i gniewu niemało. Ale jeszcze tego samego dnia dali znać na koloniją do krewniaków swoich, i kiedy w sobotę wybrali się Skibowie do Prędocina na zrękowiny Janka z Marysią, to do Gotfrydów także ich krewniacy zawitali z kawalerem, Frycem Jungiem — i nie dawszy nic naprzód znać Jankowi, Krystyna zaręczyła się z Frycem. Co to tam kiełbas i kiszek było na weselu! a kluski takie wielkie jak cielęce główki.

Panna Jadwiga ucieszyła się serdecznie, gdy w niedzielę posłyszała nową zapowiedź. Toż samo i pan Władysław, gdy do Suszycy przyjechał. A stary Łukasz bo ciągle się tylko uśmiechał, i hulał też potem na weselu gdyby młody.

Panna Jadwiga uwiła pannie młodej prześliczny z rozmarynu wianek, a pan Władysław dał panu młodemu na wesele beczkę doskonałego piwa. To też, gdy w pół roku potem, pan Władysław pannę Jadwigę zaślubił i do swojego dworu zawiózł, pierwsza była Marysia Jankowa, która młodej pani kopę jaj świeżutkich w darze przyniosła.

Siekierki 30. października 1859.

Paulina z L. Wilkońskich.

TRZY KUKUŁKI.

Oj! wyleciał sokół, wywinął się w górę,
Trzy razy nad sosnę, dwa razy nad chmurę;
Odpoczął na górze, na samym wierzchole,
I skręcił się w pole.
Bujny wicher wieje,
Aż się sosna chwieje —
Nie chylaj się, sosno,
Mnie i tak żałosno!

Uderzyła strzała z wysokiego nieba,
Kogoż tam zabiła? wdowinego syna,

Daćby znać potrzeba,
By przyszła rodzina
Pożałować,
Pogrzebać, pochować.

Oj! przyleciały trzy kukułki siwe.
Wszystkie żałośliwe:
Jedna upadła gdzie zimna głowa,
Druga upadła gdzie chłodne nogi,
Przy samem sercu trzecia upadła.
Przy głowach matka uboga wdowa,
Przy nogach miejsce siostry niebogi;
Przy sercu jego miła usiadła.

Gdzie matka płacze, tam krwawa rzeczka,
Gdzie siostra płacze łzawa krynica,
Gdzie miła płacze, tam sucha steczka.
I taka ludzka powiadanica:
Że matka płacze z roku do roku,
Długo łzy świecą w siostrzynem oku,
A miła płacze, inną myśl łowi,
O innym mówi.

T. L.

Piękny przykład.

Józef Wcisło wójt z Borusowej.

Wieś Borusowa nad samą Wisłą w obwodzie Tarnowskim, należąca do dóbr hr. Adama Potockiego, była do niedawna jeszcze jedną z tych nieszczęśliwych włości, których mieszkańcy radziej słuchają *żyda arendarza* niż *plebana*, i którym pilniej było *do karczmy* jak *do kościoła*. Chociażby dzwony pękły w Gręboszowie — w Borusowej mało kto je słyszał: to też w niedzielę i święta zaledwie kogo z Borusowian uświadczyłeś na nabożeństwie, ale za to karczma aże dudniła od tłumu. No, to i czart się śmiał i począł na dobre we wsi gospodarzyć. I nie dziwota, iże przy takim gospodarzu w Bórusowej *bieda była nad biedami.*

Ale jako w plewsku zdarzyć się nieraz zdrowe ziarnko przydybać, takci właśnie i między złymi w jednej gromadzie nie-

jeden się dobry uchowa. I w Borusowej, Bogu dzięki, było takich kilku gospodarzy, co się nie dali ująć pokusie, i żyli sobie jak Pan Bóg przykazał. Owoż onym rzetelnym gospodarzom przykro było, że się gromada tak źle prowadzi. Radzi by ją wybawić od złego, więc poczną sobie pilnie rozważać: zkąd to złe we wsi pochodzi, i gdzie tego przyczyna, bo przecie zawsze tak nie bywało?... Aż wszyscy zgodzili się na to: *że od głowy ryba się psuje* — że z góry złe idzie. A któż głową w gromadzie, jeśli nie wójt? *Jaki wójt taka gromada*, rzecz oczywista. I przekonali się, że wójt w Borusowej lada jaki katolik i kiepski gospodarz na swojej zagrodzie. Zatem i niedziwota, iże we wsi takie gospodarstwo za katy. Chcąc gromadę ratować, potrzebaby się postarać o innego wójta — tak uradzili oni między sobą, i zaraz też poszli do urzędu, i przedłożyli tam wszystką prawdę rzetelnie, domagając się o innego wójta, a póty nie przestali prosić, dopóki swego nie skurali. Poczem z dobrą miną powrócili do wsi, i zwołali gromadę na obiór nowego wójta. Nie o jednym tam była mowa, jak zwykle w takich razach bywa — różni różnych radzili. Aż na koniec jeden z gospodarzy tak się odezwał:

— Wiecie co, sąsiedzi, nam potrzeba wójta, coby naprzód Boga i wiarę miał w sercu, a potem coby umiał na książce czytać a także i z pisma, i w razie potrzeby sam też napisać. Przecie wiadomo wam, jak często teraz pisma do gromady z urzędu przychodzą, i gdyby nie *Józef Wcisło*, toćby wypadło chyba żydowi płacić za czytanie, a w szabas może i o milę lub dalej czytelnika szukać.

— Nieźle sąsiedzie prawicie, odrzekli inni; kłopotliwa to rzecz dla gromady, kiedy się musi z lada pisaniem do żydowskiej łaski uciekać. A Józef Wcisło umieją czytać i pisać, bo się tego u księdza Krawczyńskiego uczyli; a potem wiedzą też gdzie i co powiedzieć, zwyczajnie jako człek pismienny. Więc zgoda na to, aby nam oni wójtowali. I zostałci Józef Wcisło wójtem obrany.

— Dobrej sprawie Bóg pomaga — pomyśleli w duchu poczciwi sąsiedzi, a źli z kiepską miną i skrobiąc się po głowie popochodzili do siebie. Powrócił i Józef Wcisło do domu, i jak

począł rozważać, że to wójtem być w gromadzie ale dobrym, to rzecz nie lada, bo to trzeba na wójtostwo przed Bogiem przysięgać i na każde niedotrzymanie przysięgi ciężko odpowiadać tak przed ludźmi jak i przed Bogiem, tak ci się zasmucił i zakłopotał nie na żarty. Aż na to nadchodzi kobieta jego, której już kumoszki wprzód opowiedziały, co się święciło w gromadzie. A że zwyczajnie jako żona znała *swego* na wylot, toć zaraz zmiarkowała, czego on taki smutny: że to wójtostwo tak mu ciężyło na sercu. Nuż go tedy pocieszać: — Kto z Bogiem, prawi, Bóg z nim. Podołali ta inni temu, to i ty podołasz. — Po prawdzie mówiąc, to się ta i trochę bała, żeby Józef nie podziękował, bo to przecie wójtowej każdy się we wsi skłoni, i zaraz w lepszem jest uważaniu u ludzi.

Józef zasłyszawszy te słowa pociechy od *swojej*, podźwignął głowę zaturbowaną do góry i spojrzał przed siebie. I w sam raz natrafił na obraz Matki Najświętszej wiszący na ścianie. Więc upadł na kolana i począł się modlić. Po krótkiej ale szczerej modlitwie wstąpił duch w niego — pożegnał żonę, dosiadł konia i pojechał do *Żabna,* gdzie był urząd. Tam przysiągł na wójtostwo, i już jako starszy gromady powrócił do domu.

Zaś jak to się Józef Wcisło zabrał do tego urzędu, i jak go po dziś dzień jeszcze sprawuje — opowiemy wam za drugim razem.

ZABOBONY.

O zażegnywaniu, czarach i tym podobnych rzeczach.

— Co też to teraz za ludzie na tym świecie! Wspomnieć im o czarownicach, to się tylko śmieją, zażegnywania i wróżenia przezwali zabobonami i gusłami, a tych, co w nie wierzą, głupimi ludźmi mianują. Mój miły świecie! co to dalej będzie. Bo choć i ten nasz sołtys, kumoszko, co to za nicpotem człowiek! Wiecie wy o tem, że on Jakóbowę oskarżył w sądzie, że zażegnywała i wróżyła?.... Już ją dzisiaj poprowadzili do aresztu i podobno ma długo siedzieć.

Tak prawiła Szymkowa do Wojciechowej, zeszedłszy się z nią po nieszporach na drodze.

— Moja Szymkowo, rzekła na to Wojciechowa, bodajże was z takiem gadaniem *niedorzeczy!* Aboście to nie byli dzisiaj na kazaniu?... A przecież nie do murów prawił nasz Dobrodziej, jeno do ludzi, co na to mają uszy ażeby słuchali, i rozum żeby nim pojmowali. No, ta i jakaż tam była nauka? czyż nie napominał nas, abyśmy nie wierzyli w czary i zażegnywania, bo to wszystko zabobony?... Widać jakeście pilnie słuchali, skoro wam oto nie wstydno, takie rzeczy przedemną bajać. Tfu! przechwalacie się że umiecie na książce i żeście w świecie bywali, a jednak wierzycie w czary. Ot nie pletlibyście *ladaczego.*

Na taką żarliwą mowę Wojciechowej, już się nastroiła była Szymkowa z odpowiedzią, aż tu w sam raz nadciągnął stary Frącek, i pochwaliwszy Pana Boga, spytał, o co chodzi. Wojciechowa opowiedziała wszystko, jak prawda — stary pokiwał głową, potem usiadł nad rowem, zaprosił kobiety do siebie, i tak mówić zaczął:

— Już też Jakóbowa niemało naoszukiwała ludzi i nawyłudzała od nich grosza i innych rzeczy. Żal mi jej, że się na takie puściła rzemiosło; ale jej się dobrze stało, bo jak to powiadają: *„Do czasu dzban wodę nosi.“* Co prawda to prawda. Dawnemi laty, kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, służyłem u nieboszczyka naszego proboszcza. *Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie!* dobra to była dusza! to też za nim choćby i w ogień — tak go wszyscy miłowali. Raz poraz przyjeżdżali do niego drudzy Dobrodzieje. Ja usługiwałem w pokoju, ta nieraz od nich pożytecznych rzeczy się nasłuchałem. Pamiętam dobrze, jednego wieczora rozmawiali też i o czarownicach, wróżkach i tym podobnych cygankach. Cygaństwem też to wszystko nazywali i głupstwem. Ja zaś, trzeba wiedzieć, jeszcze wtedy okrutnie wierzyłem w one wszystkie bajki, bo mi nieboszczka matuś, Boże jej odpuść, od maleńkości niemi nabiła głowę. Ale jak przyszedłem do lat i do rozumu, i rozważałem sobie kazania i nauki, tom się przekonał, że w istocie prawdę owi Dobrodzieje mieli. Powiedźcież same, moje kobiety, bo i czy to nie

głupstwo wierzyć w czarownice i wróżki! Ot, naszą Jakóbowę miano za czarownicę, mądrą babę — i bali się ją ludzie, a ona z tego korzystała. Więc kiedy nie miała co jeść — co jej się nie rzadko trafiało, bo była próżniak od świata — to jeno poszła sobie do pierwszego lepszego domu, a dano jej chleba, mąki i co miano, aby się jej tylko pozbyć, i aby tam kogo nie oczarowała. Powiadano, że jej z oczu źle patrzało — alboż to niejednemu źle z oczu patrzy, i jużci zaraz ma być czarownikiem?.... Jakóbowa wróżyła drugim, a sobie nie wywróżyła, że ją sołtys poda do sądu, i że sobie jakiś czas przesiedzi w areszcie.

— No, to niby i prawda — odezwała się Szymkowa — ale Frącku, przyznajcie sami, że taki ona niejednemu z naszych pomogła.

— Nie wiem ci czem — mówił dalej stary. A czemuż to sobie przeszłej zimy pomódz nie mogła, gdy chorowała na nogę?... Prawda, że Maciek po jej zażegnywaniu wyzdrowiał — ale myślałby kto głupi że to z tego? — at, właśnie z tego! zwyczajnie choroba się przesiliła i wyzdrowiał. Wprawdzie są ci ta lekarstwa na różne choroby, są zioła po naszych łąkach i lasach Boską ręką zasiane, które nam pomódz mogą. Więc kto się prawdziwie zna i na chorobie i na lekarstwie, ten się za Boską pomocą i wydźwignie z choroby, byle nie było za późno. Znają się na tem doktorzy, bo się tego uczą przez wiele a wiele lat. Toć bezpieczniej oddać się w ich ręce, jak u lada jakiej baby, co się udaje za lekarkę, szukać porady. Zdarzyć się ta poprawdzie powiedziawszy i takiej babie, *jak ślepej kurce ziarnko* że go uzdrowi — i już zaraz z tego ludzie Bóg wie jakie historje robią, a to był jeno trafunek a nic więcej. Ale za to komu zaszkodziła, tego nie pamiętają — chociaż gdyby przyszło porachować, toby się więcej i bardzo więcej takich znalazło, co z jej przyczyny na zdrowiu szkodę ponieśli, albo zgoła i pomarli, a niżeli takich którym się na co przydała ich głupia rada. Dla tego to właśnie zakazane jest, i nie wolno babom mieszać się w nieswoje rzeczy, temci bardziej, że nie o bagatelną rzecz idzie, bo o życie i zdrowie człowieka. A szkodzić bliźniemu dla podłego zysku, to mojeściewy grzech, bardzo

wielki grzech, tak właśnie jakoby samo zabójstwo. Co gorsza, te baby szachrajki nie zadadzą ci żadnego lekarstwa w przyzwoity sposób, ale zaraz jakieś tam czary, zażegnywania, spluwania, i tym podobne inne rzeczy wyprawiać ci będą, a to po prostu dla obałamucenia i na oszukaństwo ludzi.

— Oj co prawda, to prawda, mój wuju — rzekła Wojciechowa — że to jeno cygaństwo i nic więcej. Ano choć i ta Jakóbowa! gdyby ona była czarownicą za jaką się udawała przed ludźmi, toby zapewne i sołtysa i sędziów była oczarowała, i nieby jej się nie stało złego. A tymczasem nie prawda, bo ją jak każdą inną wpakowali do aresztu i jużci.

Na to Szymkowa się odezwie: — Nieinaczej, kumoszko, i ja to sama powiadam, że to była cyganka a nie żadna czarownica. O, o, ktoby się tego był spodział!...

— A tak moje kobiety! rzeknie znowu stary Frącek, zabierając się w dalszą drogę — i Jakóbowa nie była czarownicą i każda inna, coć się za taką podaje, nie zasługuje na wiarę i jest po prostu szachrajką.

— I cóż wy na to, — zagadnie Wojciechowa do Szymkowej — latająż wam jeszcze czarownice po głowie?... ej, ej! jeno nie zapomnijcie wyspowiadać się z tego przed księdzem proboszczem, a zobaczycie jak was Dobrodziej będzie za to łajał.

— Ha no! bo to tak widzicie, ludzie bają — odezwała się Szymkowa — i człowiek to powtarza, chociaż też temu i niekoniecznie wierny. Mój Boże! wszyścyś-my grzeszni, zwyczajnie jak ludzie.

Na tem skończyła się ich rozmowa. Każdy poszedł w swoją stronę spokojnie; jeno co Szymkowa raz w raz powtarzała sobie w cichości, pokręcając głową: Widzisz, ktoby się tego był spodział, no, no! że to człek i na starość jeszcze musi się uczyć rozumu... Ha, cóż robić, trzeba się wyspowiadać po szczerości i pokutę odprawić. Ale, ale, niechże mi się teraz taka baba nawinie, co się za czarownicę udaje — dam ja jej! od razu ćwieknę jej w oczy, że to cygan baba i jużci.

(S. N.)

RÓŻNOŚCI.

Co mogą pochwały? Pewien gospodarz posłał dwóch parobczaków po bronę do sąsiada. Skoro na miejscu, powiada jeden z nich, co był filut nielada, do drugiego: — Cóż to sobie nasz gospodarz myśli! albo to nam życie nie miłe, że nam kazał we dwóch takie ciężary dźwigać? Założyłbym się o niewiedzieć co, iże tej brony trzech chłopów nie udźwignie, a niedopiero dwóch takich jak my. — At, baj baju, odezwał się drugi — trzech chłopów na jedną bronę! ha, ha, ha! I zaśmiał się aże się za boki brał. — No i czego się śmiejesz ty! zawołał filut niby urażony. — Jakże bo się nie śmiać, ha, ha! toć to jeden nie ma co dźwigać, a on aże o trzech chłopach prawi. — Fiu, fiu, patrzaj! jaki mi mocarz! drwił sobie filut, biorąc się pod boki — chybabyś ty udźwignął, he?... — A co może nie? krzyknie tamten i splunąwszy żywo w obie garści: Pomóż tylko zadać mi ją na plecy, prawi, a zobaczysz że ją uniosę. Filut nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, duchem zadał mu bronę, i kiedy ten głupi, popisując się siłą swoją, z ciężarem pędzi naprzód, on mu jeszcze dogaduje: To mi to siła, niech cię nieznam!... I ktoby myślał, że w tobie taka moc! no, no, patrzaj, to dalibóg aże mi się coś dzieje od dziwu. Ho, ho, nie radziłbym nikomu mierzyć się z tobą na siłę — ależ bo to siła, o dla Boga! żebyś jeno szwanku jakiego nie odniósł! Połóż trochę bronę i odpocznij sobie. — Nie potrzeba! odparł tamten ucieszony pochwałami, i temci bardziej jeszcze nadrabiał miną, jak gdyby mu nic a nic nie ciężyło. Dopieroż w domu wykryło się wszystko i powstał z tego wielki śmiech między ludźmi. Musiał się też nieboraczysko nie mało nawstydzić, kiedy pomyślał, że tak gładkim sposobem dał się wystrychnąć na dudka. Ale to go nauczyło rozumu, i odtąd już nie uważał na niczyje pochwały, jeślić o jaką próżną rzecz chodziło.

Pożary. I znowu przez dzieci stało się nięszczęście, że ich rodzice zostawili bez dozoru. Właśnie miesiąc temu będzie, kiedy w *Ostrowie* w obwodzie Brzeżańskim, zalazły dzieci włościanina Semena K. z siarnikami do szopy. Chciały one rozniecić ogień dla pieczenia kukurudzy. Jak na to nieszczęście z siarnika prysnęła iskra na leżącą nieopodal słomę, i powstał pożar. W okamgnieniu płomień ogarnął szopę, ztamtąd przerzucił się na bliskie domostwo, a zanim ludzie ze wsi nadbiegli z ratunkiem, jużci i budynki gospodarskie się zajęły, i z całym zapasem zboża spłonęły do szczętu. — W parę dni później w *Płuchowie* w Złoczowskiem, zajęła się sterta zboża współwłaściciela tej wsi, pana N.; a że się to stało w nocy i wicher wstał gwałtowny, to też wkrótkim czasie i wszystko zboże ogień pożarł i jeszcze kilka zabudowań gospodarskich w dodatku spłonęło. Domyślają się ludzie, że ogień był podłożony. Toż-to kiedyś przed Bogiem ciężko odpowiadać be-

dzie każdy taki człek niesumienny, co sobie tak za nic ma pracę ludzką, i tyle świętego chleba dla jakiejś tam urazy słusznej lub niesłusznej, zmarnuje. — Toż samo powiadają i w *Lachowcach*, w obwodzie Stanisławowskim, gdzie się w początkach tego miesiąca wydarzył pożar, że był podłożony. Najsamprzód zajęła się sterta siana u Sawki W. tamtejszego gospodarza. Z tąd dopiero przerzucił się płomień na jedną, drugą chałupę i tak po kolei aż cztery zagród poszło z dymem. Ratując swoje mienie oboje gospodarstwo Sawka i Maryna U. wraz z córką okrutnie się poparzyli, tak że ich musiano zabrać do szpitalu miejskiego w Stanisławowie. Niewiadomo jeszcze czy co z nich będzie albo nie.

Zarobił jak Zabłocki na mydle. To przysłowie ztąd miało powstać. Niejaki Zabłocki nakupił dużo mydła i chciał je Wisłą spuścić na statku do Gdańska. Ale statek był bardzo zły — że spodu i z wierzchu naciekało wiele wody i mydło na piękne się rozciekło, tak że z tego jeno same pozostały mydliny. Stracił więc tą razą Zabłocki. Ale że to była strasznie uparta sztuka, a przytem bardzo mało miała tego oleju w głowie co to się nazywa rozumem, tak jak się już raz uczepił swego handlu z mydłem, trzymał go się jak to mówią rękami i nogami, i ani rusz nie można mu było tego z głowy wybić. I po raz drugi nakupił mydła niezmierną moc. Wodą, prawi, niegłupim się już puszczać, bo i na co mi tego, kiedy droga bita do Wrocławia, i tam zapłacą mi tak dobrze jak gdzieindziej a może i lepiej. — Tymczasem srodze przerachował się nasz Zabłocki. I stałoć mu się tak właśnie, jak temu coby szedł z deszczu pod rynnę. W Wrocławiu ani pies nie spytał się o jego mydło, bo go tam swego mieli podostatkiem. Stracił więc powtórnie, ale tą razą już na łeb na głowę. Ani szelążek nie został mu się z całego majątku. Wkrótce też historja o tem rozbiegła się po całym kraju — i od tego czasu weszło między ludźmi w używanie to przysłowie: *Zarobił jak Zabłocki na mydle* — coć się do tych stosuje, którzy się biorą do czegoś, na czem się nic a nic nie rozumieją i tracą.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Przykład lepszy niż nauka, czyń co mówisz — to mi sztuka.
2. Szata świetna nie ozdobi złego, a uboga nie oszpeci dobrego.
3. Szczęście ci sprzyja, nie podnoś się — szczęście się przeciwi, nie upadaj.
4. Gdzie Chrystusowa dziedzina, tam murem i pajęczyna.
5. Zły poradnik gorszy niż krzywdziciel.
6. Kto łaskawy, nie zapominaj, a kto nie łaskawy, nie wspominaj.
7. Kto z dobrych szydzi, tym się Bóg brzydzi.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**